

Kto bronił Lublina?

Otrzymał list od p. Józefa Wyganowskiego z Bychawy, który w 1939 r. służył w intendencji.

W służbie czynnej byłem w kadrze intendencji jako piekarz i takie skierowanie otrzymałem, gdy zameldowałem się w RKU. 30 sierpnia 1939 r. otrzymałem wezwanie do natychmiastowego stawienia się do jednostki w Lublinie. Gdy wybuchła wojna wszystkich nas piekarzy i innych specjalności należących do Intendencji rozlokowano na Wrotkowie, bo koszary były za małe, a nas było około pół tysiąca. Przez kilka dni nic nie robiliśmy, dopasowywaliśmy mundury, a część żołnierzy moczyła nogi w Bystrzycy (dosłownie, bo ciężkie buty ocierały stopy). Później piekarze przeszli do pracy dla wojska. Wtedy mieliśmy pełne ręce roboty. Przydzielono mnie do piekarni mechanicznej przy ul. Podwał jako magazyniera na zmianę nocną. Kwaterowaliśmy w młynie Krausego. Zdaje mi się, że 10 września 1939 r. nasze dowództwo otrzymało rozkaz przeniesienia kadry piekarskiej do Kowla. Kiedy przyszedłem na zmianę nocną, łącznik powiadomił mnie, że wszyscy już wyjechali, a mnie rozkazano wy-

dać zapas chleba zgłaszającym się jednostkom i dopiero później dojechać do Kowla. Pozostałem więc z pełnym magazynem chleba i mąki.

Po trzech dniach postanowiłem prędko pozbyć się chleba i każdemu zgłaszającemu się żołnierzowi dawałem worek z kilkoma bochenkami. Doszło nawet do pewnego incydentu: ostatecznie bochenki chleba wydałem jednemu żołnierzowi. Za chwilę pojawiło się kilku jeszcze wojskowych, ale ten obdarowany chlebem nie chciał się z nimi podzielić. Byłem zdenerwowany. Zagroziłem upierającemu się, że go zastrzelę jeśli nie podzieli się bochenkami. Liczyłem do trzech (nie wierzę, że mógłbym do niego strzelić), gdy nagle poczułem czyjeś ręce na swoim ramieniu i usłyszałem łagodny głos: — Przyjacielu chcesz strzelać do kolegi, klóćcie się o chleb, a patrz, mieszaiki penie, ciasto kipi na posadzkę. Koło mnie stał młody ksiądz. Rozkazał mi natychmiast ubierać się w fartuch i zabrać się do wypieku chleba. Sam włożył ubranie robocze i zabrał się do roboty. Powiedział mi, że dowództwo obrony Lublina wysłało go do zorganizowania wypieku chleba dla obrońców. Z jego opowiadania wynikało, że dowódca obrony był zapalonym żołnierzem i postanowił bronić miasta przed Niemcami. Stan wojska wynosił podobno około 1500 ludzi, było kilka armat i karabinów maszynowych oraz ręcznych.

W tym czasie przyjechał kapral, któremu podlegałem, i rozkazał mi zabierać się na furę (przyjechali nią w kilku) oraz jechać do Kowla. Musiałem wykonać rozkaz.

Ten ksiądz miał najwyżej 30 lat, mówił, że jest w stopniu porucznika. Jak sobie przypominam pochodził z Sosnowca czy Sandomierza.

Jeszcze warto powiedzieć, że Wrotkowa miały bronić cztery armaty przeciwlotnicze i ciężkie karabiny maszynowe, które się ciągle zacinały, a niemieckie samoloty bez przeszkód paradowały nad nami.